

Cała naprzód!

24 października 2013

Polskość dla wielu jawi się jako problem. Oczywiście moglibyśmy uznać, że jest to ich problem, że nam nic do tego. To oni nie wiedzą, jak znakomitą mamy tradycję, jakich bohaterów narodowych, jaką wspaniałą kulturę wytworzyli Polacy na przestrzeni wieków. Sam nie odczuwam w żaden sposób mojej narodowości jako obciążenia, jednak wydaje się, że jeśli znaczna część społeczeństwa posiada problemy z własną tożsamością narodową, to siłą rzeczy mamy do czynienia z zagadnieniem, które należałoby jakoś rozwiązać.

Chciałbym w tym tekście – w szkicowy sposób – wskazać, skąd biorą się problemy z polskością oraz jak można się ich pozbyć. Proces ów powinien polegać na dojściu do momentu, w którym nasza tożsamość mogłaby być kształtowana przez nas samych, w zgodzie z naszymi potrzebami. Wymagałoby to odrzucenia pewnego sposobu debatowania o polskości. Przyjmuje tutaj perspektywę czysto teoretyczną, nie zajmując się w ogóle tzw. bazą. Jestem świadomy, że niektóre zagadnienia związane z tym, jak siebie postrzegamy, biorą się z pewnych faktów, które zasługują na miano obiektywnych. Dla czystości obrazu wolę jednak pozostać w sferze ideologii. Oznaczać to będzie, że rozwiązania tu proponowane będą zawsze niepełne. Jednak jasne jest, że nikt nigdy nie napisze tekstu, który ostatecznie i ze wszystkich perspektyw opíše dany problem. Warto czasem więc ograniczyć się do pewnego wycinka rzeczywistości, gdyż dzięki temu można zobaczyć pewne rzeczy wyraźniej.

Zacznijmy od ustaleń, które – choć niezbyt odkrywcze – pomogą nam wprowadzić do tekstu pewien porządek. Tożsamości powstają dzięki wychwyceniu różnicy (jest to – rzecz jasna – kwestia bardzo skomplikowana; warto by zastanowić się, co sprawia, że pewne różnice są pomijane, a inne brane pod uwagę) między definiującym się podmiotem a innymi. Gdyby – dla przykładu – wszyscy ludzie posiadali ten sam kolor skóry, to oczywiste

jest, że nikt nie czyniłby z koloru skóry czynnika istotnego dla tożsamości. Oznacza to, że koniecznym warunkiem autoidentyfikacji jest spotkanie z innym. Co więcej, to właśnie kwestia tego, kim jest ów inny, jest zasadnicza dla procesu kształtowania tożsamości. Proces ten bowiem nie polega na możliwie najdokładniejszym opisie określanego bytu, ale na podaniu cech, które w danej chwili wydają się najistotniejsze. Poczucie istotności danej cechy lub jej braku zależy właśnie od tego, w jaki sposób postrzegamy innego – co nas najbardziej różni od niego.

Afrykańskie plemię sprzed kolonizacji, które miało kontakt tylko z ościennymi ludami, mogło wytwarzać własną tożsamość jedynie w oparciu o różnice zachodzące między nimi a sąsiadami. Natomiast po kolonizacji częścią ich tożsamości musiały stać się te cechy, które odróżniały ich od kolonizatorów. Jako wniosek możemy więc stwierdzić, że to, w jaki sposób postrzegamy samych siebie, zależy nie tylko od tego, jacy „obiektywnie” jesteśmy, ale również (a może przede wszystkim) od tego, z kim się porównujemy.

Zatem jeśli chcemy rozprawiać o polskości, musimy w pierwszym rzędzie rozpoznać naszego „innego” – punkt odniesienia, który pozwala nam określić siebie samych. Odpowiedź jest dość prosta: tym punktem odniesienia jest Zachód. Jednak zanim przejdziemy do omawiania stosunku wobec Zachodu, warto poświęcić kilka zdań Wschodowi. Jeszcze do niedawna polska tożsamość była również określana przez relację do Rosji. Mówiło się o Polsce jako o mieszaninie pierwiastków łacińskich i słowiańskich, swego rodzaju syntezie. Wskazywano na nasze niejasne położenie. Pytano: czy Polska jest wschodem Zachodu, czy zachodem Wschodu? Czasem taką sytuację afirmowano, twierdząc, że dzięki melanzowi różnych elementów powstała na naszych ziemiach nowa jakość, być może wręcz nowa cywilizacja. Innym razem krytykowano ten stan rzeczy, uznając, że prowadzi on jedynie do chaosu i w gruncie rzeczy uniemożliwia jasne samookreślenie.

Wydaje się jednak, że od upadku ZSRR Wschód przestał zajmować poważne miejsce w debatach tożsamościowych. Jest tak dlatego, gdyż wcześniej pełnił on rolę prawie wyłącznie negatywną. Polacy „od zawsze” uważali się za stojących cywilizacyjnie wyżej od swoich wschodnich sąsiadów. Wschód nigdy nie był potencjalnym punktem dojścia. Służył głównie temu, aby utwierdzić się w opowieści o wyjątkowych wartościach, które posiada nasz naród. Po 1989 roku Polacy całą uwagę skierowali na Zachód, gdyż główny powód definiowania się względem Wschodu – czyli polityczno-militarna dominacja Moskwy w naszym regionie – odchodził w niebyt.

Dominującą narracją Polski transformacyjnej było „doganianie Europy”. Za europejskie wartości, które mieliśmy przyswoić, a których to według ideologów rządzących medialnym przekazem nie posiadaliśmy, uznano wolny rynek (na nasze nieszczęście owa gonitwa za Europą rozpoczęła się, gdy rozkwitał tam neoliberalizm), demokrację, obywatelskość, tolerancję, przedsiębiorczość czy szacunek wobec prawa. Zachód jawił się jako niemal bajkowa kraina, gdzie coca-cola leje się z kranów, na ulicach zawsze jest czysto, a wszystkie konflikty rozwiązywane są zgodnie z Habermasowskim ideałem demokracji deliberatywnej. Tam raj – u nas nędza.

Jaką rolę odgrywała polskość w tej opowieści? Z grubsza rzecz biorąc, była ona balastem. Co prawda wskazywano czasem na dobre cechy Polaków. Przecież w sierpniu '80 dzięki światłemu przywództwu Tadeusza Mazowieckiego i Bronisława Geremka stoczniovcy gdańscy potrafili zachować się odpowiedzialnie i strajk zakończył się pokojowo. Również Okrągły Stół świadczył o tym, że z Polakami nie jest tak źle. Transformacja nie zakończyła się przecież krwawą masakrą komunistów, lecz wielkim narodowym pojednaniem. Lech Wałęsa i Wojciech Jaruzelski – człowiek z nadziei i człowiek honoru – mimo wszelkich różnic podali sobie ręce i zaprowadzili w Polsce demokrację.

Jednak samo hasło „doganiania Zachodu” jasno wskazywało, że

naszemu społeczeństwu daleko jeszcze do ideału. Nie chodziło przecież jedynie o wskaźniki gospodarcze. Polacy nie różnili się od Niemców czy Anglików wyłącznie zarobkami. Problemem miały być szalejące ksenofobia, antysemityzm, postawy roszczeniowe, rozpowszechniona mentalność człowieka sowieckiego, niezaradność, umiłowanie w męczeństwie czy swego rodzaju antypaństwowość. Zatem mimo tego, że formalnie po 1989 r. nastąpiła w Polsce demokracja, to w znacznej mierze polskość do niej nie dorosła. Polskość jako forma musiała zostać zmieniona (o ile nie: zniesiona), by kraj ten zaczął przypominać mityczny Zachód.

Dość szybko okazało się, że rodzimi okcydentaliści używają powyższej narracji jako formy sprawowania władzy. Europejskość stała się pałką, którą z większą lub mniejszą gracją okładano politycznych przeciwników. Reakcja była łatwa do przewidzenia. Szybko powstała kontropowieść, zgodnie z którą Zachód jest zagrożeniem dla polskości. Polacy wcale nie muszą się zmieniać, aby stawić czoła wyzwaniom współczesnego świata. Wręcz przeciwnie: muszą oni konserwować odwieczne cechy narodowe (umiłowanie wolności, bezgraniczny patriotyzm, katolicyzm etc.), żeby przetrwać. Problemem, z którym polskość powinna się zmierzyć, są wraże (wewnętrzne i zewnętrzne) siły. Wyplenienie różnych zakłóceń tożsamościowych sprawi, że będzie u nas sielsko / (jak choćby nad Zatoką Perską).

Te dwie opowieści dość szybko ukonstytuowały coś, co można nazwać współczesnym sporem o polskość. Spór ten – jak się wydaje – ma zasadniczy wpływ na polską politykę i od ponad 20 lat wyznacza główne linie podziału sceny politycznej. Czy uznajemy, że Polska – wspaniale – lecz trzeba po trochu / ją ucywilizować – niech klęczy na grochu? Czy raczej twierdzimy, że polskość jest formą prawie doskonałą, którą trzeba jedynie odrobinę oczyścić z niepotrzebnych naleciałości? (Oczywiście w czystej polityce obie postawy występują w formie złagodzonej).

Należy zauważyć, że oba stanowiska w sporze o polskość z pozoru traktują ją jako coś autonomicznego. To znaczy: obie

strony twierdzą, że nasza tożsamość posiada pewne immanentne cechy, które są niezależne od tego, co wobec niej zewnętrzne. Oczywiście nie chodzi o to, że cechy te wzięły się z powietrza. Idzie raczej o to, że w sporze o polskość brakuje rozpoznania, iż to, jak sami siebie postrzegamy, oraz to, jak określamy naszą tożsamość – jest efektem tego, z kim się porównujemy. I okcydentaliści, i obrońcy tradycji sądzą, że polskość jest nam dana jako przedmiot badań, którego istotę można odkryć poprzez uważne przyglądanie się Polakom: ich zachowaniom, wzorcom postępowania, kulturze czy historii. Można nawet zaryzykować tezę, że obie strony w wielu punktach zasadniczo zgadzają się co do tego, czym jest polskość – różnice powstają dopiero wtedy, gdy przychodzi do jej oceny. Spór ten nie jest więc dyskusją nad tym, jaka jest istota naszej tożsamości. Jest raczej konfliktem o to, jak należy polskość wartościować.

Polskość zatem jest w tym sporze pewną stałą, czymś o określonej naturze, formą, którą można przyjąć lub odrzucić. My, Polacy, możemy o naszej tożsamości debatować, możemy się do niej odnosić, możemy ją oceniać, ale nie bardzo wiemy, jak ją kształtować. Skoro polskość jest już dana, to w jaki sposób mielibyśmy aktywnie wytwarzać narodowe wzorce? Z jednej strony można ją jedynie kontemplować, z drugiej po prostu odrzucić. Bynajmniej więc żadna z powyżej naszkicowanych wizji polskości nie może być narzędziem jakiegokolwiek zmiany. W obu przypadkach jest ona jedynie przedmiotem estetycznej lub etycznej oceny.

Debaty o polskości w ich obecnej formie nie mogą nas w takim razie posunąć ani odrobinę do przodu, gdyż uprzednio zakładają, czym polskość jest. Po co są więc prowadzone? Może właśnie po to, aby uwolnić się od odpowiedzialności za zmiany? Łatwiej pójść na spektakl teatralny, a po jego zakończeniu wyrazić swoją opinię na temat obejrzanego przedstawienia, niż samemu wystąpić na scenie. Polacy nie chcą „występować”, nie chcą działać, wolą prowadzić spór, w którym wciąż powtarzają

te same retoryczne gesty. Gdybym miał odpowiedzieć na pytanie, jaką funkcję pełni polskość w owych debatach, to powiedziałbym, że jest to jedynie przedmiot pozwalający na trwanie w sytuacji konfliktu. Jeśli tak jest, to jasno widać, że polskość nie może być dla nas narzędziem zmiany. Nie będzie ona służyła temu, aby naród ten wytworzył solidarną i inkluzywną wspólnotę, dzięki której Polakom będzie żyć się owocniej.

Zanim spróbujemy sobie powiedzieć, w jaki sposób moglibyśmy „zaprząć” polskość do tego rodzaju pracy, postawmy pomocnicze pytanie. Mianowicie – czy jeśli uznajemy, że polskość powinna służyć pewnemu celowi, a jednocześnie stwierdzamy, że tak się nie dzieje, to czy automatycznie nie zajmujemy pewnego stanowiska w opisywanym sporze? Czy nie implikuje to opowiedzenia się za tezą, że nasza obecna tożsamość jest w swej istocie bezużyteczna? Nie do końca, gdyż aby twierdzić, że pewne pojęcie mogłoby być bardziej użyteczne dla wzrastania społeczeństwa, nie potrzebujemy w ogóle go wyraźnie waloryzować. Co więcej, zdrowo jest założyć o każdej idei czy zjawisku społecznym, że wciąż istnieje pole do pracy nad nimi, że nie są (i nigdy nie będą) skończonymi dziełami. Zatem również o polskości możemy swobodnie sądzić, że należałoby uczynić ją bardziej użyteczną – i zarazem sądzić tak bez jednoczesnego spoglądania na nią z obrzydzeniem.

Jak więc sprawić, aby nasza tożsamość była dla społeczeństwa siłą, nie balastem? Przede wszystkim należałoby wyjść z bezużytecznej logiki sporu, która każe przyjmować polskość jako coś z góry danego, jako przedmiot pozbawiony wszelkiej dynamiki. Potrzebujemy przestać traktować naszą tożsamość jako coś, co podlega jedynie ocenie. Musimy mieć świadomość, że polskość jest czymś, co się raczej wydarza, niż po prostu jest. A sposób, w jaki się ona dzieje, jest zależny od naszej woli. Już samo myślenie o polskości w kategoriach narzędzia, które daje nam różne możliwości użycia, powinno działać terapeutycznie. Takie podejście ustawia nas bowiem w roli

czynnych podmiotów, a nie jedynie obserwatorów, którzy mogą co najwyżej wyrazić podziw lub wzdgarę. Aktywne kształtowanie tożsamości jest oczywiście procesem trudnym i długotrwałym, ale cóż nam pozostaje? W innym przypadku oddajemy te pojęcie – tak bardzo ważne dla kształtowania się wspólnoty – siłom, które mogą mieć interesy odmienne od naszych. Zamiast więc pytać o to, czym jest polskość, czy jest formą użyteczną, czy nie, zapytajmy: jakiej polskości byśmy chcieli?

Zanim jednak będziemy mogli szczerze zadawać tego rodzaju pytania, tj. zanim nasze pytania będą miały jakąkolwiek moc sprawczą, musimy zneutralizować spór o polskość w jego obecnej formie. Jak wcześniej stwierdzono, polskość jest obecnie definiowana przez odwołanie do Zachodu. Jest to w pewnym sensie jedyny możliwy wybór. Nie będziemy przecież określać się względem Orientu, Ameryki łacińskiej czy Chin. Jasne jest, że to Zachód stanowi nasz punkt odniesienia. Warto jednak zauważyć, że w dotychczasowych debatach Europa Zachodnia przedstawiana jest zawsze jako swego rodzaju monolit. Jedni po prostu twierdzą, że we wszystkim powinniśmy Zachód naśladować, a inni uważają, że jest to siedlisko wszelkiego zła i „cywilizacji śmierci”. Oba obrazy są oczywiście dalekie od prawdy. Brak jakiegokolwiek zniuansowania zakłamuje również to, jak postrzegamy samych siebie. Jeśli porównujemy się do fałszywego obrazu, to automatycznie nasz własny obraz zostaje wypaczony. Gdybyśmy potrafili zobaczyć Zachód w sposób bardziej zbliżony do prawdy – razem z jego słabościami i zaletami, to myślenie o polskości nie byłoby ani przeżyciem traumatycznym, ani nadto ekstatycznym. Skupilibyśmy się raczej na zwykłych, codziennych cechach, które sprawiają, że różnimy się od Niemców, Francuzów czy Hiszpanów. Inaczej się odżywiamy, inaczej traktujemy gości, odnosimy się do siebie w inny sposób. Polskość nie musi być niczym dramatycznym. Zamiast szukać jednej wielkiej różnicy (np. Polacy żywią gorący popęd do śmierci, a na Zachodzie ludzie kultywują życie), lepiej i zdrowiej jest poszukać wielu małych różnic, które sprawiają, że nasz naród jest różny od narodów

położonych na zachód od Odry.

W ten sposób wytworzona zostałaby polskość codzienna, która nie kazałaby nam dokonywać patetycznych deklaracji. Zresztą proces ów już się rozpoczął. Polacy po wstąpieniu do UE, dzięki ułatwieniom w przekraczaniu granic, mogli bez nabożnego lęku obserwować, jak naprawdę wygląda Zachód. Dość łatwo można było zobaczyć, że ten ideał wcale taki idealny nie jest. Powstała więc odrobinę dziwna sytuacja, w której obraz „innego” się rozsypał. Problemem jednak pozostaje to, że ciągle przyzwyczajeni jesteśmy do mówienia o polskości w kategoriach zbyt dramatycznych, aby przekuć owe spostrzeżenia na zmianę tego, jak postrzegamy siebie samych.

Oczyszczenie debat o polskości z momentów wskazujących na nieprzekraczalny rozdźwięk między nami a Zachodem pozbawiłoby głównego paliwa obie strony naszego sporu. Nasza tożsamość stałaby się czymś normalnym, niekłopotliwym, czymś, z czym nie trzeba się zmagać. Byłby to postęp w stosunku do tego, z czym spotykamy się obecnie, gdzie polskość jest jakimś metafizycznym piętnem, z którym można się albo pogodzić, albo je brutalnie odrzucić. Nie to powinno być jednak naszym punktem dojścia. Potrzebujemy polskości, która będzie przez nas aktywnie kształtowana. Potrzebujemy polskości, która jest marzeniem o lepszej przyszłości. Marzenia realizuje się poprzez ciężką pracę, jak jednak zmusić się do ciężkiej pracy, gdy nie mamy marzeń?

Walt Whitman we wstępie do „Żdźbeł trawy” stwierdził, że same Stany Zjednoczone są największym poematem. Wychwalał Amerykę jako krainę wolności, równości, obywatelskiej miłości. Czy wierzył w swoje słowa? Czy nie widział ogromu niesprawiedliwości, cierpienia i zwykłej biedy? Oczywiście, że widział. Trzeba by więc uznać, że jego pieśni o Stanach Zjednoczonych były raczej śpiewem o tym, czym Ameryka może i powinna się stać. Były to pieśni przyszłości, które wyznaczały zadanie obecnym i przyszłym pokoleniom. Takiej formy tożsamości potrzebujemy również i my. Polskość nie musi być

jedynie patrzeniem w przeszłość. Polskość może być również tym, co kryje przed nami przyszłość.

Źródło: [Nowy Obywatel](#)